

Instytut Badań
Mierzejska 1922
P. II - 376

Przysyła pocztowa opłacona ryczałtem.

Cena 25 groszy

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy“ Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Adminstracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II.

WARSZAWA, DNIA 30 SIERPNIĄ 1924.

Nr 51.

Stan wyjątkowy.

Od lat szeregu walczyliśmy o uporządkowanie stosunków na Wschodzie. Wskazywaliśmy, że ustawodawstwo tam panujące, stanowiąc zlepek zarządzeń, rozporządzeń sprzecznych niejednokrotnie powodują zamęt. Podnosiliśmy, że konstytucja marcowa nie doczekała się należytego rozwinięcia, nie znalazła ustaw, na których wykonanie jej musi być oparte i dlatego nie została wprowadzona w życie—stąd normy prawno-publiczne tu obowiązujące są dalekie od zasad demokracji, urągają temu, co obiecywano i obiecuje się ludności miejscowej. Pisaliśmy, że nie zrobiono nieomal nic, dla uczynienia zadość słusznym i ze wszech miar usprawiedliwionym wymaganiom narodowym i gospodarczym włościan białoruskich i ukraińskich. Mówiliśmy i powtarzaliśmy niejednokrotnie, że administracja nasza na Wschodzie nie stoi na wysokości zadania, że jest za mało wyszkolona, za mało sumienna, za mało rozumiejąca interes Państwa; zbyt przesiąknięta duchem nacjonalizmu i samowładztwa; że nadto wskutek słabego rozwoju samorządów, nikłości życia społecznego administracja ta ma możność zbyt apodyktycznego, zbyt samowolnego rządzenia krajem, że z samowoli tej szeroko korzysta, używa jej i nadużywa.

Biliśmy na alarm w sprawie bandytyzmu. Wzywaliśmy do ochrony granicy, wołając o mocną straż nad rubieżami państwa, podnosząc konieczność wzmożenia czujności, stworzenia

policii lotniczej, któraby obserwowała półtora tysiąca kilometrową granicę.

Nie zadawaliśmy się krytyczną oceną sytuacji. Stawialiśmy żądania. I te żądania doczekały się w prasie dyskusji. Ale na wszystko to rząd był głuchy. Bezpłodne narady, do których nie dopuszczano przedstawicieli mniejszości, owocem których były ułamkowe, liche ustawy językowe; tajne konwenytkle — oto skutki kilkoletniego poruszania opinii publicznej.

Aż oto gruchnęła wieść o Stołbcach. Nie był to jedyny wypadek w swoim rodzaju. Gródek i inne miejscowości zapoznały się już poprzednio z „dywersjonistami“. Stołbce stały się przecięt głośniejsze z tych, czy innycn względów.

Ale zamiast rozwagi, zamiast zastanowienia, zamiast dążenia do ujęcia postępowania naszego w jakiś program — wywołały popłoch.

I oto, ni z tego ni z owego, nagle rozpoczyna się w prasie przemycać obłąkańczą myśl o — stanie wyjątkowym. Obłąkańczą — powtarzamy, bo stan wyjątkowy niczemu nie zapobiegnie — wszystko pogorszy.

Więc jakto? tej administracji, która na każdym kroku dawała dowód swej kompletnej niedojrzałości, która, mając takie kompetancje jak nigdzie, w żadnym zakątku Państwa, zdołała jedynie skompromitować imię Polski, nie umiała zapewnić ludności elementarnych warunków bezpieczeństwa — tej samej administracji — dać się ma teraz jeszcze bardziej wyjątkowe, jeszcze nadzwyczajniejsze pełnomocnictwa?!

Czy można sobie wyobrazić coś bardziej — rozpaczliwego?! Pasporty, przepustki czerwone, zielone, pomarańczowe, żółte, niebieskie, białe, czarne — jedno na dzień, inne na noc, jedno do pół, inne do łąk, jedno na 11½ klm. od granicy drugie na 9 i ćwierć, trzecia na pięć i dwie dziesiąte — ograniczenia co do godzin tam, gdzie zegarki ledwie oglądają — oto są rozkosze, jakimi już zaczyna się raczyć biednego chłopca miejscowego, który wreszcie powie — niech już rabują, niechaj co chce będzie, byle nie te papierki, zakazy, kordony, przepisy — a zawsze arest, kara, bicie i t. p.

Militaryzacja! Więc na miejsce ledwie doświadczonego w sprawach administracyjnych urzędnika dać mamy całkiem niedoświadczonego oficera, aby szastał się w śmietniku ustaw zarządzeń, przepisów, o których nie ma zielonego pojęcia i kompromitował siebie i nas, i dalej nieumiejętnością, jeśli nie czem innym imię polskie zniesławiał?!

Zaprawdę, jeżeli skutek taki mają mieć napady band dywersyjnych na nasze terytorjum — to bolszewicy serdecznie się będą cieszyli, bo nic tak nie wzburzy ludności, nic tak nie popsuje stosunków na Wschodzie, nic tak nie zamąci sprawy, jak wszystkie te militaryzacje i stany wyjątkowe, o których roi się w mózgach, ogarniętym paniką ludziom.

Stan wyjątkowy może być stosowany z pożytkiem w okolicznościach wyjątkowych. Stosunki na Wschodzie doprowadziliśmy sami, własnem niedołęstwem, własnem nieuctwem, własną bezwolą do dzisiejszego stanu. Uzdrowić je może tylko racjonalna organizacja życia.

Z jednej strony czujność na granicy — czujność ciągła, trwała, nieustająca (nie wyjątkowa). Z drugiej praca nad ludem, zaspokojenie jego potrzeb, uczynienia zadość jego wymaganiom, pilnowanie jego praw. Jest to wszystko to, co musi dać Państwo w najnormalniejszych warunkach. Jest to z drugiej strony to, co ku pomocy służbie bezpieczeństwa, ku pomocy administracji mobilizuje wszystkich mieszkańców. Tą drogą musimy zdążać do poprawy stosunków.

Drogi, o których się dziś mówi, które rozstrząsa się zupełnie niepotrzebnie na radach ministrów i komitetach politycznych — są fałszywe, są złe — są podyktowane przez obłęd popłochu i jako takie będą potraktowane przez całą demokrację polską.

Rząd p. Grabskiego winien pamiętać, że stan wyjątkowy, stan wojenny, militaryzacja (czy co innego) ziem wschodnich będzie rękawicą, rzuconą przez niego poczuciu sprawiedliwości demokracji, słuszności i że tego nie daruje mu nikt i nigdy!

A. Uziembło.

Nerwowy kontratak z pod Blachy.

W odpowiedzi na rezolucję lubelskiego zjazdu legionistów domagającą się od sterników navy państwowej wytworzenia warunków prawnych, w którychby Marszałek Piłsudski mógł dokonać dzieła moralnego uzdrowienia armji, jako warunku *sine qua non* zdolności bojowej naszej siły zbrojnej, oraz głosu wskazujące odpowiedzialność Ministra Spraw Wojskowych, za uderzającą powolność wysiłku rządu w tej zasadniczej sprawie — pałac pod Blachą wystąpił z niesłychaną, wprost skandaliczną kontrofensywą prasową.

Nie możemy ominąć konieczności stwierdzenia faktu, iż odpowiedzialność za treść artykułu w *Polsce Zbrojnej* p. t. „O konsolidację wojska” ponosi osobiście p. gen. Sikorski.

Argumenty w nim zawarte, a przede wszystkim ich osobisty charakter, wyklucza możliwość zamieszczenia tego artykułu w oficjalnym organie wojskowym bez zgody ministra. Ponadto artykuł ten w całości przedrukowany został przez *Kurjer Polski*, który zapomniał oddać należnego hołdu zastudze Legionów w dniu ich dziesięciolecia z tych samych powodów, dla których skwapliwie powtórzył brutalny i pełen kłamstw, pospolitej blagi i pogroźek, tasiemiec w obronie gen. Sikorskiego. Nie trzeba

zapominać, że w tym samym piśmie niezwłocznie po dymisji gen. Sosnkowskiego i nominacji obecnego ministra ukazał się artykuł, usiłujący rzucić cień na mundur ustępującego ministra. Zestawienie tych dwóch epizodów wskazuje wyraźnie rękę kierowniczą.

Przechodząc do treści samego artykułu nie można dość silnie podkreślić jego oburzającego tonu. Pismo wojskowe, które w ten sposób omawia drażliwe i fachowe zagadnienia armji, wystawia sobie więcej niż ujemne świadectwo.

Przedewszystkiem strona faktyczna.

W omawianym artykule czytamy: „I cóż zarzucano gen. Sikorskiemu (na zjeździe — *P. R.*)? A więc, że zjazd zbagatelizował, nie wysyłając nań nawet depeszy i że tendencyjnie odsuwa Marszałka Piłsudskiego od czynnej służby w wojsku. I jedno i drugie okazuje się *tendencyjnym fałszem*”.

Przemawiający tym tonem udziela innym prawa używania go w stosunku do siebie.

Otóż „tendencyjnym fałszem“ jest tupet powyższego zaprzeczenia zarzutom Zjazdu. Depesza podobno została wysłana, lecz, o dziwo, nie doszła rąk zbiorowego adresata. Nie można uznać dopuszczalności przypadkowego gubienia depesz ministra Spraw Wojskowych, przesyłanych wojskową linią telegraficzną. Jeśli taki wypadek się zdarzył, winno być zarządzone postępowanie śledcze, a depesza doręczona z opóźnieniem, lub poprostu tekst jej ogłoszony przez Gabinet ministra, lub *P. A. T.*-iczną. Wówczas nie byłoby wątpliwości co do intencji autora depeszy. Tak czy inaczej, dokument ten Zjazdu nie doszedł i jego uczestnicy mieli pełne prawo wyciągnąć z tego faktu wnioski.

Druga część tego zaprzeczenia, twierdząca jakoby Zjazd zarzucał ministrowi, „że tendencyjnie odsuwa Marszałka Piłsudskiego od czynnej służby w wojsku“, jest fałszywa w swej treści.

Megaloman tylko może osądzać potęgę gen. Sikorskiego tak niebosięźnie, aby mógł on aż „odsuwać“ Marszałka Piłsudskiego.

Zjazd zarzucał gen. Sikorskiemu, że widząc tak groźne — jak to w artykule sformułowano — chmury nad Polską zawisłe i rzucające imperatyw przygotowania siły zbrojnej, nie wykazał dobrej woli stworzenia warunków, umożliwiających Marszałkowi powrót do armji.

Zarzut ten nie jest, jak chce obrońca p. ministra, bezzasadny i bliższe uzasadnienie go byłoby zadaniem nad wyraz łatwym.

Nie jest też poważne twierdzenie, że, aby spełnić postulaty zjazdu p. minister „musiałby być człowiekiem wszechmocnym”.

Nic podobnego.

Praktyka dostarcza nam zbyt obfitych przykładów, że rząd dość łatwo przeprowadza przez Izby ustawy, na których mu zależy.

Egzemplum ustawa o pełnomocnictwach. Gdyby więc rządowi, a więc i ministrowi spraw wojskowych zależało na załatwieniu przez parlament ustawy o organizacji naczelnych władz wojskowych, byłby tego dzieła dawno dokonał.

Nie trzeba więc „wszechmocy” dla usunięcia powodów, zrozumiałego dla każdego państwowo myślącego obywatela, niezadowolonia legionistów.

Żądali oni na zjeździe od gen. Sikorskiego, aby był tylko mocny w spełnieniu zadania swego urzędu, zadania, którego aktualność i doniosłość sam podkreśla.

Wyciągnięcie zaś z rezolucji zjazdu prowokacyjnego wniosku, podanego w formie rzekomo tylko zapytania: „Czyżby chodziło o zahamowanie pracy, omawianej powyżej, o osłabienie postępującej konsolidacji wojska?” jest przestępstwem natury moralnej, za które autor, gdyby był człowiekiem honoru, odstąpiłby przyłbicę, zgłaszając tym samym gotowość poniesienia odpowiedzialności, przed którą tchórzliwie i niegodnie skrył się pod maską anonimu.

Jeżeli zaś chodzi o „pracę, omawianą powyżej”, a więc w całości artykułu „O konsolidację wojska”, można powiedzieć o sposobie jej przedstawienia, że ośmiesza osobę rzekomą chwaloną. Twierdzenie, że dopiero z chwilą objęcia przez gen. Sikorskiego urzędu ministra, „korpus oficerski z ulgą odechnął, uświadomiwszy sobie, że może pracować ideowo dla Polski, bez brania udziału w politycznych rozterkach i że Minister jest właśnie tym człowiekiem, który, zwróciwszy się do armji, odciął ją od walk wewnętrznych”, jest dowodem zamroczenia umysłu piszącego.

Byłoby wogóle dobrze ustalić fakt, że p. gen. Sikorski dopiero od czterech miesięcy jest Ministrem Spraw Wojskowych, a armja istnieje już lat bezmała sześć, i że w tym czasie, do dnia ostatniej zmiany pod Blachą, odniosła ona zwycięstwo nad bolszewikami i po wojnie była już na zasadach ideowej służby korpusu oficerskiego i podoficerskiego zorganizowana w sposób nienaganny. Oczywiście, gospodarka gen. Szeptyckiego dokonała wielkich w tym dziele spustoszeń. Wszakże po tym smutnym okresie nie mało w dziele naprawy dokonał gen. Sosnkowski. Wszyscy wszakże zdawali i zdają sobie sprawę, iż całokształt wielkiego zagadnienia zcementowania armji wymaga poważniejszego autorytetów od ofiarowanych jej dzisiaj. Endecy wprawdzie ujawnią ten pogląd dopiero w momencie groźnego niebezpieczeństwa, gdyby takie nieszczęście spotkać miało Polskę — nie znamy to wszakże, aby endecki punkt widzenia on miał być realizowany przez sterników nawy państwowej.

W odpowiedzi anonimowemu obrońcy gen. Sikorskiego, imieniem i nazwiskiem replikę tą podpisuje.

W. Stpiczyński.

* * *

W sprawie tej „Polska Zbrojna“ w numerze z dn. 27 sierpnia r. b. umieściła następujące pismo Marszałka Piłsudskiego.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze Pańskiego pisma z dnia 24 sierpnia ukazała się enuncjacja, powtórzona i w innych pismach, a związana w swej treści z moją osobą.

Wobec tego, że enuncjacja ta została wydrukowana bez jakiegokolwiek z mej strony udziału i bez powiadomienia mnie o tem, musiały się zjawić w tem ogłoszeniu niedokładności, niekiedy przykre dla mnie, co zmusza mnie do prośby umieszczenia następującego sprostowania.

Po pierwsze: po mojem wystąpieniu z wojska, w połowie zeszłego roku, jedyną propozycją powrotu do służby państwowej w wojsku, którą otrzymałem, była propozycja nie czyja inna, jak gen. dyw. Kazimierza Sosnkowskiego, w końcu ubiegłego roku. Zgodnie z moim poglądem postawiłem mu warunki, które poza krótkimi rozmowami z nim samym były przedmiotem rozpraw, toczonych ze mną z kilku członkami gabinetu p. Władysława Grabskiego w Belwederze. Zaznaczam że mowy tam nie było ani o Generalnym Inspektorze Armji, ani o jakichkolwiek funkcjach. Odpowiedź odmowną na moje warunki ze względów politycznych otrzymałem od Pana Prezesa Ministrów Władysława Grabskiego przez Pana Ministra Miklaszewskiego, który w tym celu przybył do mnie, do Sulejówka. Wszystkie więc inne określenia, w enuncjacji związane z wymienioną propozycją, nie są zgodne z prawdą.

Po drugie: czuję się w obowiązku zaznaczyć dla uniknięcia nieporozumień, które mogą być wywołane dalszą treścią enuncjacji, że p. gen. dyw. Sikorski, obecny Minister Spraw wojskowych, wkrótce po objęciu przez siebie urzędu przysłał do mnie swój projekt organizacji najwyższych władz wojskowych z prośbą o moją ocenę i opinię co do tego projektu. Przesłałem Panu Ministrowi zgodnie z jego prośbą tę ocenę.

Ogólna treść mojej opinii była następująca: Projekt, zdaniem mojem, nie daje się zastosować w naszych warunkach, a samo sformułowanie funkcji trzech głównych osób — Ministra Spraw Wojskowych, Szefa Sztabu i Generalnego Inspektora jest według mego zrozumienia o tyle niejasne i nieod-

powiadające wymogom pracy wojskowej, że nic oprócz stałych tarć i sporów wyniknąć z tego nie może.

Czy projekt ten i w jakim stopniu został przez kogokolwiek zmieniony i w jakiej formie został do Sejmu wniesiony — nie wiem, gdyż nikt mnie o tem nie powiadał, dlatego też powstrzymuję się od wypowiadania jakiegokolwiek o nim sądu. Znając jednak dotychczasowe próby ustalenia organizacji najwyższych władz wojskowych, muszę przypuszczać a priori, że i te ostatnie próby, czynione w dodatku bezemnie, nie odpowiadają moim poglądom, gdyż dotąd spotykałem się prawie zawsze ze sprzeciwem w tej właśnie sprawie.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie, zapewnienie wysokiego szacunku, z jakim pozostaję

J. Piłsudski.

Sulejówek, 24 sierpnia 1924 r.

Potępione skrytobójstwo.

W niektórych pismach czeskich, z racji dziesięciolecia, jakie upłynęło od wybuchu wojny, omawiano projekt wzniesienia pomnika zabójcy arcyksięcia Franciszka Ferdynanda — Principowi. Argument był taki: Princip przez swój czyn dał pierwszy sygnał do wybuchu wojny. Ultimatum Austrii wywołało mobilizację w Rosji i w Niemczech, poczem wielkie wypadki potoczyły się już z piorunującą szybkością. Wojna przyniosła niepodległość Czech. A więc Princip jest pierwszym tej niepodległości twórcą. Trzeba mu postawić pomnik. Tak rozumują projektodawcy. Nie wnikajmy w tę historjozofję,

Projektom pomnika Principa zajął się na łamach „Rzeczypospolitej“ p. Adam Grzymała Siedlecki. Rozpatruje moralną stronę rzeczy i zgłasza swój sprzeciw. Wystąpienie i dobór argumentów p. Grzymały-Siedleckiego nie jest pozbawione pewnej pikanterji, a to przez nasuwające się pewne analogje i wspomnienia...

Zastrzeżenia p. Siedleckiego, i to właśnie na łamach „Rzeczypospolitej“, właśnie w sąsiedztwie amoralnych na analogiczny temat blażeństw Adolfa Nowaczyńskiego, ozywają pewne wspomnienia z czasów tak niedawnych.

„Czy szczęśliwy w skutkach — pisze p. Grzymała-Siedlecki — tak dla Jugosławji, jak Czech, a i dla Polski, czyn Principa dorasta moralnie do wymiarów pomnikowych? Daleki jestem od chęci obniżania pobudek narodowych Principa. Wierzę, że nie bez szlachetnego podkładu była ta rozpacz, która młodzieńczego terorystę sprowadziła na drogę zamachu, ale równocześnie nikt i nigdy nie odwróci faktu, że zabójstwo serajewskie, jak każde niemal morderstwo polityczne, było, bo być musiało, skrytobójstwem. Dotychczasowa myśl aryjska cofała się zawsze od Igloryfikacji skrytobójstwa. Skrytobójstwo mogło doczekać się prób usprawiedliwienia, przebaczenia nawet, ale nigdy nimbu. Gdy Jakób Clément wepchnął nóż pod serce Henryka III Walezjusza, cała Francja odetchnęła z ulgą, bo ze świata zeszedł najmizerniejszy monarcha, jaki kiedykolwiek zasiadł na tronie Capet'a. Wraz z czynem Clémenta otworzyła się też Francji droga do potęgi, wsczętej rządami Henryka IV-go. Clément jednak nie doczekał się ani pomnika, ani sławy. Czci Francja dzień zdobycia Bastylji, jako początek wielkich idei, wypracowanych w krwawych oparach Rewolucji (coż to za dziwny entuzjizm p. Grzymały Siedleckiego dla „wielkich idei wypracowanych w krwawych oparach Rewolucji“!), lecz nie świętuje żaden Francuz daty stracenia Ludwika XVI“.

Dalej — jeszcze parę przytoczeń — historycznych, by dowieść, że mordercy nigdy na cześć i gloryfikację nie zasłużyli i zasłużyć nie mogli.

Śmierć ś. p. Narutowicza nie była początkiem innej, lepszej ery. Wszystko i pod każdym względem zmieniło się dla narodu na gorsze. Mógł więc tem łatwiej p. Grzymała-Siedlecki protestować przeciw szerzeniu czci dla Eligjusza Niewiadomskiego. Winien był wówczas przypomnieć swoim przyjacielom, że „dotychczasowa myśl aryjska cofnęła się zawsze od gloryfikacji skrytobójstwa“. Dził Czechom prawi pouczające morały. One by się były przydały w najbliższym p. Grzymały-Siedleckiego otoczeniu, skąd na szersze warstwy społeczne poszła ohydna w skutkach zaraza moralna.

w.

Nasza dyplomacja.

Jest to już rzeczą dla wszystkich chyba jasną, że sytuacja międzynarodowa Polski z dnia na dzień staje się trudniejsza. Pomyślne konjunktury, które towarzyszyły początkom naszego odrodzenia, mają się ku końcowi. Przez lat kilka łódź nasza płynęła jakoś z prądem, utrzymując się na wierzchu fal, dzięki sprzyjającym nam naogół dziejowym podmuchom. Wiatr się zmienia i nadal zwyciężać żywioły będzie w stanie jedynie silna nawa, mająca na pokładzie swym dzielnych żeglarzy i, co zmianna — śmiałego, mądrego sternika.

Na tem tle pałacy staje się problem dyplomacji polskiej: Któż to prowadzić będzie statek przez odmęty, kto wpatrywać się wytrawnem okiem w kompas albo w mapy, kto z mostku kapitana wydawać rozkazy w mgłę, w burzę, w niepogodę?!... Kto, innemi słowami, bronić będzie na świecie interesów Polski, kto reprezentować będzie i jak jej rację stanu, kto wydawać rozkazy licznemu zastępowi rzeczników spraw naszych pośród obcych?!. Nie mając dobrej i sprawnej armji ani wodzów — nie wygrywa się ani jednej bitwy, nie mając dojrzałej, świadomej zadań swych dyplomacji nie odnosi się ani jednego sukcesu w stosunkach międzynarodowych, szczególnie, gdy przeciw nam jest zmowa cała rozwiniętych a wielce nam nieżyczliwych potęg.

Więc, pytamy, raz jeszcze, z czemże idziemy na spotkanie grożących nam zewsząd niebezpieczeństw? Kto odwracać je będzie od nas, kto je będzie neutralizował, kto ciosy, wymierzone w pierś i w jutro państwa polskiego, na arenie wszechświatowej nieledwie — opanować potrafi? I na pytanie to nie znajdziemy żadnej odpowiedzi, tak dalece w tym względzie jest Polska bezradna i bezbronna. W przededniu wielkich politycznych bojów, potężnych zmagania się rozmaitych kierunków intencji, w momencie wielkich prób oparcia równowagi europejskiej na nowych podstawach, w chwili przyjsia do władzy nowych czynników, nowe wyznających hasła, my, Polacy — powiedzmy sobie to otwarcie — nie posiadamy prawie sił ludzkich, ni organizacji, którym byśmy czuwanie nad bytem naszym pośród obcych społeczeństw i nacyj istotnie powierzyć byli w stanie.

Nasza dyplomacja to wojsko o papierowych podszewkach, wojsko bez charakterów i głów, bez wytrawnych i mężnych kierowników, bez posłusznych, lojalnych podkomendnych, wojsko bez środków technicznych, bez bagażu i bez żadnej tradycji, lub właściwie z tradycją jaknajgorszą. Bowiem ze wszystkich części organizacji państwowej ta właśnie od początku była i pozostała jaknajgorsza. Genetycznie objaśnić to nietrudno.

Państwo polskie rozpoczęło swoje życie polityczne na zewnątrz pod znakiem walki dwóch t. zw. orjentacji i dwóch zwalczających się wzajem obozów wewnętrznych. Ani przez chwilę nie będziemy twierdzili, jakoby wina tych obozów w zniekształceniu naszego aparatu dla akcji zagranicznej była jednakowa. Lwią część winy ponoszą tu początkowi „zwycięscy” — adherenci b. Komitetu Narodowego. Od pierwszej chwili oni to wprowadzili w obyczaj dyplomatycznej polski dyskredytowanie i szkalowanie swych przeciwników w społeczeństwie przy pomocy różnych sfer cudzoziemskich. Niemalę budziła zdumienie metoda ta wśród cywilizowanych ludów starego i nowego świata, ale wreszcie uszanowano w niej *couleur locale* myśli politycznej czy sytuacji Polski.

To była pierwsza dawka zabójczej trucizny, zastrzyknięta szaleńczo dyplomacji naszej. Drugą — stało się uzależnienie jej od orgji partyjnictwa, jaka rozpasala się w niedojrzałym narodzie, upijającym się surogatem parlamentaryzmu, tą samogonką polityczną, jaka oszołomiła nas od góry do dołu. Sejm nie miał nigdy prawie poważnej większości, bowiem najwyższe wskazania państwowe zbyt rzadko grupowały się dokoła siebie. Rolę wytycznych grały ciągle interesy cząstkowe. Życie Reczypospolitej toczyło się i toczy w atmosferze nienawiści i nieufności wzajemnej grup różnych nawet tam, gdzie ogólnopństwowe dobro oczom każdego jest jasne jak na dłoni. Ta waśń wewnętrzna, ten stan rzeczy zaciężył na strukturze organizacji naszej służby zagranicznej katastrofalnie.

Stanowiska na placówkach dyplomatycznych obsadzano z reguły na tle przetargu, każdym razem pomiędzy stronnictwami, w której to licytacji górował oczywiście już to wściekły, już to syczący głos endecji. Stronnictwo to służbę dyplomatyczną od początku za swoją uznało domenę. Działo się jednak, iż kandydaci jego musieli czasem stawać do konkursu. Wtedy to rozgrywała się w całej pełni żalosna tragifarsa państwowego głupstwa. Między kandydatami na jakieś stanowisko odbywała się licytacja *in minus*. Przyzwolenie zdystansowanych przypadkowo monopolizantów władzy politycznej w Polsce uzyskiwał z szeregu ludzi różnych pojęć — nie działacz intelektualnie najświetniejszy, najlepszy, lecz wprost przeciwnie — najbardziej błądy, niewyraźny, bierny. Tak obsadzały się zresztą wszystkie większe „urzędy”. Dla dziedziny spraw zagranicznych

jednak to była zasada. Dokonała ona po szeregu lat iście wspinałej w swym rodzaju selekcji, której gorzkie owoce już spożywamy i spożywać będziemy długo jeszcze.

Tak zapoczęte dzieło: zespół ludzi o podejrzaney lojalności i wybiorków wzajemnego psotnictwa stronnictw poważnionych stworzył był pierwsze kadry polskiej dyplomacji. Naturalnie były w tem i wyjątki, jednak tak nieliczne, że nie mogły odegrać większej roli. Tolerowano je zaledwie. Panem sytuacji i zarazem jedynym materiałem na polskiego 'męża stanu był albo notoryczny zausznik prawicy, albo oportunistą, umiejący unikać jej ataków za cenę bezbarwności lub ustępstw, czynionych ze szkodą Polski wprawdzie, lecz zapewniających mu na czas jakiś spokój. A potem do tej zacnej kompanji przybył wprost kondotjer-karjerowicz i liczebnie oczywiście wziął górę. Nie miał przekonani i sumienia, nie miał zwykle nawet żadnej politycznej przeszłości — przez to samo dogadzał różnym stromom najbardziej, dochodził też dość szybko do dużych sytuacji.

Zaroilo się więc w dyplomacji polskiej od najmitów bez żadnej fizjognomji duchowej, mających jedną rolę: brać pensje dość wysoką, otrzymywać ordery, jeździć automobilem i nie narazić się nikomu. Takich typów wybudowała Polska na swą straszliwą szkodę — legion. W ich rękę są dziś przeważnie sprawy nasze. Nie miejmy w tym względzie żadnych złudzeń. Pytamy, ilu to reprezentantów naszych, lub ich współpracowników wylegitymować się może jakąś istotną wiarą polityczną, jakimś owocnym czynem, jakąś rzetelną służbą narodową, wielkim rozumem lub zasługą? Pan Zieliński i Seyda dokonali w tym względzie ostatecznej prawie niwelacji. Gdzie przeszły konie hunnów trawa nie rośnie...

Inteligentnych, rozważnych wpatrzonych w dobro Polski, umiejących zdobywać dla niej szacunek i sympatję, rozumiejących współczesnego ducha, zdolnych do mówienia z narodami nie obijających tylko proggi ministertsw — takich ludzi w dyplomacji naszej pozostała szczypta zbyt mała, by osiągnąć coś mogli. Na palcach ich policzysz. Przerazająco wielka zato falanga ludzi do czynu żadnego absolutnie niezdolnych. To jest ta armja, z którą dziś w zmienionym i coraz gorszym dla nas układzie stosunków zaciągamy w pole. Cóż, że wodzem tej armji został nowy minister?! Cóż, że przy nim jest paru znowu dzielnych ludzi?! Panu Skrzyńskiemu życzymy powodzenia, liczymy na jego rozum, takt i dzielność. Ale sam nie da rady. Zasiadł do fortepianu, którego większa część klawiszów nie odpowie, albo odpowie zgrzytem.

Zaś do zmiany na lepsze organizacji całej niema warunków. Niema ich w obecnym układzie sił politycznych Polski. Endeckie „veto“ ciąży jeszcze nad wszystkim. Ludzie do czynu zdolni są przez nie wyklęci. I tak zapewne będzie jeszcze długo, bo ciemnota polityczna mas jest bezgraniczna i nikczemność krę-

taczów partyjnych nie zna miary. Pod osłoną dwóch tych czynników wegetować będzie więc mogła pewnie obecna „dyplomacja” nasza, brnąc w braku sensu, przewidywania i idei. Snob, karjerowicz, półpanek i półgłówek nacjonalistycznej reakcji, nie pojmującej nawet dzisiejszego świata, jego dążeń, zagadnień i przemian, rozmawiać będzie dalej pod wszystkimi prawie stopniami szerokości geograficznej z przedstawicielami nowej, niezrozumiałej dla niego ludzkości, która dziwić się będzie, czemu to Polska z myśli i z ducha swego tak mało do niej należy.

I nadto kto czuć się będzie solidarny z Polską, bo głosu jej silnego, rozumnego, mądrego, nie usłyszy? Tak dalej spadać będą akcje nasze na szerokim świecie. Chyba, że piorun jakiś uderzy w naszą... dyplomację.

* * *

Liga Narodów.

Może nigdy nie zbierała się Rada Ligi Narodów w nastroju takim jak obecnie. Boć od samej chwili jej założenia, nieomal wszędzie panowała tendencja uszczuplenia kompetencji, tej instytucji, umniejszenia możliwości wtrącania się jej do spraw, które silni tego świata potrafią załatwiać sami znacznie dogodniej dla siebie.

Były momenty, gdy Liga upadała nieomal zupełnie. Sprawy rozpatrywane przez nią albo były nikłe i małe, albo też załatwiane zostawały poza kulisami tej instytucji, która podpisywała jedynie decyzje zupełnie gdzieindziej powzięte.

W owym to czasie, lata 20, 21 Związek Narodów ratowała właściwie Polska i inne państwa którymi opiekować się zaczęły wielkie potencje zachodu. W tych to sprawach areopag genewski odzyskiwał swobodę działania. Stanowił, nakazywał, rządził, wtrącał się do spraw wewnętrznych kraju, prawodawstwa, był jednym słowem władny.

Konstatujemy to bez ironji i bez jakiegokolwiek pretensji. Nie jakiegokolwiek uprzedzenie względem nas sprawiły, że nam może najdotkliwiej dała się Liga Narodów we znaki, lecz konieczność rozwojowa tej instytucji. Wszędzie napotykała ona opór bardzo silny, więc istność swą manifestowała tam gdzie opór był najsłabszy — zajmowała próżnię.

Obecnie sytuacja się zmieniła. Nowe gabinety Francji i Anglii wystąpiły z programem wzmoczenia Ligi Narodów. Mac Donald nosi się z planem przekazania jej nieomal wszystkiego co dotyczy likwidacji skutków wojny w Europie i nie napotyka dotąd na sprzeczności zasadnicze, owszem, ogólniki, wygłaszane nad Sekwaną zdają się raczej zapowiadać przychylnie przyjęcie tych propozycji.

Przyjęcie Niemiec do Ligi, taki czy inny udział w jej pracach St. Zjednoczonych zdają się być już na porządku dnia. A wiele zjawisk świadczy, że Sowiety również rezygnują z całkowicie negatywnego względem niej stanowiska i więcej niż dotąd chcą się zajmować jej zamiarami.

Nie można z tego wyciągać wniosków za daleko idących. Bo oto jednocześnie inicjatywa Ligi w sprawie paktu gwarancyjnego poparcia należytego nie znalazła. Jednocześnie i w stanowisku premiera angielskiego nastąpiło pewne załamanie linii. Pragnąc podporządkować wszystko zasadom sprawiedliwości międzynarodowej, a widząc, że Liga nie jest dziś związkiem powszechnym, pragnie po za nią, a może i ponad nią systemem arbitrażu obowiązkowego związać państwa globu.

Oczywiście, że wprowadzenie tej idei w życie odjęło by Lidze wiele jej znaczenia politycznego i zamknęło jej rozwój.

Plan podobny mógł łatwo powstać w dzisiejszych warunkach nietrwałości rządów. P. Mac Donald, jako szef gabinetu, który obalić może lada przypadek, nie widzi przed sobą pewności władania tyle czasu by przebudować, zmienić już istniejący organizm. Rozumie on, że Liga dziś — to nietylko sprawa statutu, regulaminu, to już pewna praktyka, pewien zasób tradycji, określone metody — to jednym słowem duży i złożony mechanizm, którego nie można restaurować za pomocą jednego pociągnięcia pióra i oto szuka sposobu przeprowadzenia własnej zasady możliwie najszybciej, póki jeszcze parlament nie wysunął nowego rządu.

W tym pośpiechu dla Ligi tkwi ogromne niebezpieczeństwo. Nie może on naszym zdaniem uratować i zasady samej, gdyż w polityce jest niezmiernie łatwo utracić poczynania poprzedników zawieszane jedynie na dobrej woli autorów.

* * *

W czasie posiedzeń Rady Polska pozostaje po za drzwiami. Wstęp na jej posiedzenia umożliwia chyba rozważanie jej spraw. Wtedy występujemy i my — znowu jako proszący klienci, skarżący się albo oskarżeni. I nigdy brak nas na samej sali obrad nie byłby może tak bolesny, jak obecnie. Umniejsza to nam możliwość poprowadzenia w tej ważnej, doniosłej chwili samodzielnej czynnej polityki za Ligą — przeciw jakemukolwiek uszczuplaniu jej praw — przeciw przenoszeniu ich na inne instancje. Robota nasza w tym kierunku będzie miała pole ograniczone. Wystąpić będziemy mogli na tle zgromadzenia. Czy wystąpienie to jest przygotowane i jak, nie wiemy.

Skoncentrowany atak na Polskę od strony Niemiec przy sposobności ostatecznego załatwienia zagadnienia kolonistów nie-

mieckich (i prawdopodobnie Gdańska) będzie wsparty jak zazwyczaj przez Litwę i skrajne żywioły z pośród Ukraińców oraz Białorusinów. I stanie się to gdy z jednej strony p. Mac Donald ma w kieszeni oświadczenie Sowietów w sprawie Ziemi Czerwieńskiej, a pisma przyniosą mu wiadomość o nominacji wojskowych na stanowiska wojewodów, na ziemiach wschodnich.

Jak to my umiemy wszystko zrobić we właściwym czasie!

Sulima.

Wysuwająca się kwestja.

Sowiety rosyjskie trzymały się dotąd zdala od Ligi Narodów, obecnie wszakże po podpisaniu umowy z rządem MacDonalda okazują pewne tendencje „nieurzędowego“ zbliżenia się do pokojowej instytucji, której rolę teńże rząd chciałby znacznie rozszerzyć. Z naszego stanowiska sprawa ta nastęrcza poważne wątpliwości i obawy, gdyż Rosja sowiecka, która nigdy nie trzymała się ustalonej poprawności i przyzwoitości sąsiedzkiej, w ostatnim roku jeszcze bardziej się oddaliła w stosunku do nas od obowiązujących norm międzynarodowych i zbliżyła się do znanej formuły Trockiego: „ani pokój ani wojna“.

Sabotaż na całej linii postanowień traktatu pokojowego, pozbawianie wolności urzędników naszych misji, posiadających prawo eksterytorjalności, kwestjonowanie przynależności do naszego państwa Galicji Wschodniej przez Rakowskiego w Londynie, bezczelne i ordynarne pretensje w notach sowieckich— to wszystko odbiega od uznanych w Europie norm pokojowego współżycia. Do tego przybývają jeszcze wyprawy zbrojne, organizowane przez władze sowieckie w Mińsku; wyprawy te przypominają już nam wiek 17-y i odnawiają tradycje Dzikich Pól i chronicznej małej wojny, którą tam trzeba było stale prowadzić. Cóż mamy robić? Nawet zwycięska wojna nie usunie tego stanu, gdyż trzeba by przerobić Rosję na współczesne państwo cywilizowane, a na to bezwarunkowo nie mamy ani sił ani środków.

Tu wszakże wysuwa się zagadnienie z zakresu polityki zewnętrznej. Z jednej strony mamy Ligę Narodów, która chce reprezentować postęp w stosunkach międzynarodowych, z drugiej Rosję sowiecką, która cofa je o parę wieków wstecz. Co będzie, jeżeli między jedną a drugą nastąpi pewne zbliżenie?

Optymiści powiedzą, że będzie dobrze, bo wpływ Ligi oddziała w dodatnim kierunku na sowiety, skłoni je do przestrzegania minimalnej uczciwości wogóle, a w stosunku do Polski w szczególności. Nie podzielamy tego optymizmu i obawiamy się czegoś wręcz przeciwnego. Liga, która nie-

zbyt wysoko trzyma sztandar swej zasady i rządzi się w praktyce oportunizmem, może pod wpływem różnych przyjaciół bolszewickiej Rosji, przymknąć oczy na jej bezprawia traktatowe, na jej rozboje pograniczne i przynajmniej pozornie traktować ją jak współczesne cywilizowane państwo.

Musiałaby stąd wynikać dla nas poważne trudności i niebezpieczeństwa. Dopóki Rosja pozostaje po za obrębem normalnego obcowania międzynarodowego, a zwłaszcza dopóki nie ma urzędowego kontaktu z Ligą, musimy wprawdzie znosić ciężar przykrego sąsiedztwa, lecz ustalamy do niego swój stosunek samodzielnie i wolni jesteśmy od dalszych komplikacji. Gdyby wszakże sowieci zbliżyli się do Ligi, nie zmieniając radykalnie swych metod politycznych i nie wyrzekając się rozbojów bandyckich na nasze pogranicza, stałaby się rzecz potworna i groteskowo ośmieszająca współczesną Europę. O ile bowiem Liga nie potępią zbrodni przeciw pokojowi i uczciwości międzynarodowej, udziela im *ipso facto* milczącej sankcji. Otóż możemy się doczekać, że przyszłe napady bandytów sowieckich będą się cieszyły tolerancją Ligi, że w jej szeregach znajdą się tacy, którzy uwierzą kłamstwu bolszewickim o samorzutnem powstaniu przeciw panowaniu polskiemu na Białej Rusi, i tacy, którzy udawać będą, iż wierzą.

Nasza polityka powinna na terenie Ligi ustalić zasady, że do tej wysokiej instrukcji, który cel oraz rację bytu stanowi obrona pokoju i przyjaznego obcowania narodów, nie może należeć państwo, uprawiające stale bandytyzm i deptanie prawa międzynarodowego. Nie możemy sowieciom grozić wojną, skoro nie zamierzamy jej wydawać, lecz powinniśmy nadać odgłos należyty faktom, ujawniającym wroga działalność Moskwy względem jej pokojowych sąsiadów. Tymczasem nasz urząd do spraw zagranicznych wystosował z powodu napadu na Stołbce więcej niż skromną notę i nie zaprotestował dość energicznie przeciw uwięzieniu naszych urzędników misyjnych w Rosji. Postępuje się tak, jakgdyby nam zależało na ukrywaniu odnośnych faktów, na oszczędzaniu Rosji kompromitacji wobec świata. A przecież interes nasz wymaga raczej, aby opinia europejska wiedziała, czym jest Rosja dzisiejsza i jak trudno utrzymać z nią pokojowe sąsiedztwo. Ewentualne wejście do Ligi Narodów rządu, który wszelkimi sposobami dąży do rozpalenia w Europie powszechnego pożaru, będzie szczytem humbugu światowego, ale przynajmniej Polska nie powinna się do tego przyczyniać, gdyż ona najwięcej na niem ucierpi.

T. G.

P. Wojewoda Garapich.

Monitor Polski ogłosił: „Prezydent Rzeczypospolitej postanowieniem z dn. 12 sierpnia 1924 roku zwolnił p. Marjana Rembowskię ze stanowiska wojewody w Łodzi i równocześnie zamianował wojewodą w Białym-

stoku. Prezydent Rzeczypospolitej postanowieniem z dnia 12 sierpnia 1924 roku zamianował naczelnika wydziału w urzędzie wojewódzkim w Stanisławowie d-ra Pawła Garapicha wojewodą w Łodzi.

Tyle komunikat urzędowy.

P. Paweł Garapich jest typową szlachetką galicyjskim o właściwych tej kategorii obywateli małopolskich aspiracjach do radcostwa i orderów. Nie podając w wątpliwość zalet jego charakteru, jeśli je posiada, trzeba stwierdzić, że nie zabłysnął on ani w służbie austriackiej, ani polskiej talentem administracyjnym.

Nazwisko jego raz tylko satrapowało uwagę sfer politycznych, a mianowicie wiosną roku ubiegłego, kiedy to p. Wincenty Witos usiłował go, jako swego męża zaufania, narzucić rządowi gen. Sikorskiego na stanowisko wojewody łódzkiego. Gra jednak wówczas nie udała się i p. Garapicha pozostał na stanowisku naczelnika wydziału w województwie Stanisławowskim.

Dzisiejsza nominacja dowodzi, że petent i jego protektor nie zasypiali gruszek w popiele. P. Władysław Grabski uległ naciskowi p. Witosy i p. Grapich obejmuje rządy w jednym z ważniejszych centrów przemysłowych w Polsce.

Nie mając dostatecznego wycucia tętna życia przemysłowego, ani przygotowania do pokonania trudności, jakie nakłada ono na administrację państwową — w Galicji za czasów austriackich egzystował prawie wyłącznie przemysł wódczany, p. Grapich przynosi na odpowiedzialne stanowisko wojewody łódzkiego jedynie bagaż długu wdzięczności względem p. Witosy, który zaciągnął na polityce nowego dygnitarza.

Wierzchosławicki wójt nie darmo od dwóch lat zabiega usilnie i przy użyciu całych wpływów swego stanowiska parlamentarnego, o obsadę ważniejszych posterunków administracyjnych ludźmi swego stronnictwa. Rozumie on doskonale wartość tych zabiegów dla interesów swego stronnictwa, któremu tą drogą pragnie zapewnić uprzywilejowaną sytuację w czasie wyborów.

Trudno jednak przypuścić, aby stronnictwa nie upatrujące *iunctim* pomiędzy interesem piasta i państwa, mogły spokojnie tolerować oddawanie kierowniczych stanowisk administracyjnych w centrach robotniczych w ręce ludzi typu Galeckich, słuchających rozkazów władz partyjnych, od których są daleko bardziej uzależnieni, niż od ministra spraw wewnętrznych.

W. S.

Wyjaśnienia „Pocisku”.

Zakłady amunicyjne „Pocisk“ nadeszły Redakcji poniższe sprostowanie, które zamieszczamy dla wszechstronnejszego oświetlenia poruszonego przez nas problemu przemysłu wojennego, zaznaczając, że do spraw w sprostowaniu poruszonych, a potwierdzających w zasadzie nasze argumenty, powrócimy niebawem.

W Nr. 45 „Głosu Prawdy“ z dnia 19 b. m. w artykule „Afera Frankopolu w świetle interesów Skarbu i Ministerstwa Spraw Wojskowych“ został umieszczony cały szereg wiadomości o naszej firmie, zupełnie nie odpowiadających rzeczywistości.

Na podstawie art. 22 przepisów prawnych (Dziennik Praw z 1919 r. Nr. 14 poz. 186), upraszamy o umieszczenie poniższego sprostowania najważniejszych niedokładności:

1) Kapitał niemiecki i obywatele niemieccy żadnego udziału w naszym przedsiębiorstwie nie mają, i nigdy nie mieli.

2) *Rola austriackich firm Enzesfeld i Hirtenberg w powstaniu naszej wytwórni nigdy nie była dla nikogo tajemnicą i nie była nigdy trzymana w tajemnicy.* Rola ta polega na tem, że nasza Spółka nabyła od wymienionych firm główne instalacje do wyrobu pocisków i przyniosła je

w całości z pod Wiednia do Warszawy. Przyczyniło się to w znacznej mierze do tego, że Polska posiadała gotową wytwórnię pocisków już w 1921 roku, i już w początku 1921 roku dostarczaliśmy amunicję dla armji.

Udział obu firm Enzesfeld i Hirtenberg razem w naszym kapitale akcyjnym jest nieznaczący, wynosi kilka procent.

Wejście naszej Spółki w opisany stosunek z firmami Enzesfeld i Hirtenberg, — bez czego możeby Polska do tej pory nie posiadała wytwórni pocisków, — było przychylnie widziane przez Ministerstwo Spraw Wojskowych i zostało wyraźnie przez nie zaaprobowane.

Pozatem cały nasz kapitał akcyjny należy wyłącznie do Polaków (a wzmiankowany w „Głosie Prawdy” p. Leski posiada około dwóch procent akcji naszej Spółki). Jak nam zależy na polskim charakterze i utrzymaniu polskiego charakteru naszej Spółki, wskazują przepisy statutu, w myśl którego conajmniej $\frac{3}{4}$ kapitału akcyjnego naszej Spółki musi być w rękach polskich (par. 10).

Z poważaniem
ZAKŁADY AMUNICYJNE
POCISK
spółka akcyjna
(podpisy nieczytelne)

WYSZŁA Z POD PRASY BROSZURA

p. ł.

RZĄD CHJENO-PIASTA PRZED SĄDEM

zawierająca sprawozdanie z 11-stu procesów redaktora Głosu Prawdy o obrażę rządu Witosa, Seydy, Szeptyckiego, Kiernika, Kucharzkiego i Swolkienia.

Do nabycia w księgarniach, wszystkich kioskach, na dworcach kolejowych i u ulicznych sprzedawców pism.

Cena egzemplarza 2 zł.

Pp. abonentom naszego pisma, opłacającym prenumeratę w Administracji, broszura wysłana będzie bezpłatnie po nadesłaniu porta, markami pocztowymi, w wysokości 20 groszy.

Treść № 51-go: Stan wyjątkowy — A. Uziembło. Nerwy kontratak z pod blachy — Wojciech Stpiczyński. Potępione skrytobójstwo — w. Nasza dyplomacja — *. *. Liga narodów — Sulima. Wysuwająca się kwestja — T. G. Pan Wojewoda Garapich — W. S. Wyjaśnienie w „Pocisku”.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3 złote. Zagranicą kwartalnie 5 złotych.

Konto czekowe w Pocztovej Kasie Oszczędności Nr. 3288.

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA”, Moniuszki 11.